

Felieton

Krystyna Narwicz

Jak wszyscy doskonale wiemy, obecnej ekipie rządzącej wraz z towarzyszącym jej IPN-em bardzo, ale to bardzo nie podoba się kolor czerwony i wszystko, co się z nim jakoś kojarzy. Chora, wściekła nienawiść każe jej usuwać z życia publicznego wszelkie po nim ślady. A ponieważ ludzie dotknięci tą przypadłością na ogół unikają starcia z silnym przeciwnikiem, za obiekt swoich ataków obrali sobie zmarłych i niematerialne przecież idee. Trudno dociec, czy w próbach pośmiertnej degradacji gen. Jaruzelskiego, decyzji o usunięciu znad Wisły pomnika gen. Berlinga, nazywaniu I i II Armii Wojska Polskiego formacjami polskojęzycznymi lub w ostatnich pracach legislacyjnych nad zrównaniem ideologii komunistycznej z faszyzmem, jest więcej nieuctwa i głupoty, czy nikczemnej podłości. Jedno jest pewne: trzeba być arcymizernym człowieczkiem, by coś takiego zaproponować.

Niektórzy sądzą, iż wchodzący właśnie do kodeksu karnego zapis o karaniu za „propagowanie ideologii komunistycznej” – czyli m.in. za dążenie do zbudowania bezklasowego społeczeństwa, w którym zniknie alienacja istoty gatunkowej człowieka, a on sam z wewnętrznej potrzeby będzie pracować na miarę swoich możliwości, mogąc w zamian swobodnie zaspokajać swoje potrzeby – to zemsta za nie do końca udaną dekomunizację ulic.

Jak wiemy, niektóre nazwy ulic i placów noszących imiona zasłużonych dla Polski oraz dla sprawy ruchu robotniczego i sprawiedliwości społecznej bohaterów udało się uratować.

Niestety, o wielu patronów toczy się jeszcze walka. Jednym z nich jest Wincenty Pstrowski.

Rafał Trzaskowski, mający skądinąd na swoim prezydenckim sumieniu kilka całkiem sensownych, cywilizujących życie stolicy posunięć i zamiarów, właśnie jego uznał za osobę nie do przyjęcia. A przecież Pstrowski to nie jakiś funkcjonariusz UB, czy inny aparatczyk. Czym więc się mógł prosty górnik dołowy narazić dzisiejszej elicie władzy? Ano tym, że jego nazwisko nierozzerwalnie kojarzy się z pracą. Pstrowski bowiem zamiast karabinu wziął do ręki kilof i wezwał swoich towarzyszy pracy – zauważmy: nie walki, lecz pracy – do wzmocnienia wysiłku na rzecz odbudowy zrujnowanego wojną kraju. Zaiste, taka postawa zasługuje na jak najsurowsze potępienie!!!

Można się z tego śmiać lub oburzać, można jednak na całą sprawę nieco szerzej. Słyszymy, zwłaszcza teraz, po 4 czerwca, że ekipy rządzące od 1989 r. kierowały się w swych poczynaniach ideami „Solidarności”, ta zaś i jako związek zawodowy i jako ruch społeczny powinna podnieść do najwyższej rangi pracę i ludzi pracy. No cóż, powinna, lecz rzeczywistość okazała się zgoła odmienna. Przynajmniej od czasów Balcerowicza na piedestał dostał się kapitał. Pamiętamy chyba, jak potraktowano załogi przedsiębiorstw przemysłowych i rolnych, budżetówkę i w ogóle „szarego człowieka”. Nie stać cię było na „szczęki” lub przynajmniej na sprzedaż łóżkową, nie umiesz dokonywać spekulacji giełdowych, więc – używając dzisiejszego języka – należysz do gorszego sortu.

Wiele się dzisiaj mówi o kształtowaniu postaw patriotycznych, o poszanowaniu tradycji. A skoro tak, to przypomnijmy sobie widniejące na sztandarach chłopskich hasło „Żywią y bronią” (w tej właśnie kolejności) przez sam zapis ortograficzny uświadamiające, iż funkcjonuje ono w naszej kulturze od wielu dziesięcioleci, przywołajmy „Promethidion” Norwida oraz dzieła myślicieli i literatów okresu Pozytywizmu, zastanówmy, dlaczego Reymont tak uwznioślił śmierć siewcy – Boryny.

Szczycimy się – i słusznie – budową Gdyni i COP-em, czyli tym, co dał Polsce wysiłek umysłów i rąk kadry inżynieryjno-technicznej i robotników. Mówimy z szacunkiem o wysokim poziomie tajnego wykształcenia w czasie okupacji. Harcerstwo podkreśla, iż Szare Szeregi wymagały od swoich członków nie tylko ukończenia podchorążówki, lecz również podejmowania nauki w działających wówczas w podziemiu uczelniach, by być przydatnym dla kraju, gdy nastanie „Pojutrze” wolności.

A po wojnie podziw budzą dokonania trójek murarskich, rodzi się szeroki ruch racjonalizacji i przodownictwa pracy, na wody Bałtyku spływa „Sołdek”, biorący imię od nazwiska swego konstruktora, ZHP przez liczne akcje chorągwiane pokazuje, na czym polega romantyzm pracy. Jednym z ważniejszych odznaczeń państwowych staje się order Sztandaru Pracy, a osiągnięcia i dokonania zawodowe nobilitują.

Jak widać więc, w polskiej tradycji znalazło się miejsce nie tylko dla kultu walki i cnót żołnierskich, lecz i dla tych, co tworzą, budują, ulepszają. Ale gdy po wygranych przez „Solidarność” wyborach czerwcowych wprowadzono – prawda, że cichaczem i bez pytania społeczeństwa o zdanie – inny model ustrojowy, niewiele mogło się już ostać z niedawnej przeszłości. W dziejach Polski Ludowej dostrzeżono jedynie nieudolność, ciąg bezsensownych posunięć i zbrodnie. Nic więc dziwnego, że na fali totalnego potępienia padła ofiarą i praca. Wbrew encyklice Jana Pawła II odarto ją z nimbu wartości autotelicznej, 1 Maja ze święta usiłuje się zmienić w zwykły dzień wolny od zajęć, zlikwidowano order Sztandaru Pracy, a odznaczonych nim potraktowano co najmniej jak niewydarzonych dziwaków, jeśli nie wręcz przestępców, jeśli bezinteresownie, z oddaniem służyli takiemu zbrodniczemu państwu.

Tak oto ze względów ideologicznych utożsamiliśmy właściwie polskie, z tym, co rycersko-szlacheckie, przymknawszy oczy na liczne wady tego stanu. Takie podejście miło łechce naszą próżność i wybujałe aspiracje. Niby wiemy bowiem, żeśmy od Piasta-Kołodzieja, czyli że mamy chłopskie korzenie, ale chcielibyśmy bardzo pochodzić od dumnych Sarmatów, którzy przecież nie znali, co to jest trudzić się w pocie czoła. Zginać grzbiet nad miechem kowalskim czy pługiem, mozolnie ślęczyć nad deską kreślarską lub księgami, to takie płaskie, przyziemne. Co innego dosiąść wiernego konia, słyszeć w uszach szum wiatru, nieustraszenie z pochyloną laną pędzić na wroga! To dostrzeże i doceni każdy. Nawet taki Gunter Grass, Niemiec, musiał, po prostu musiał poświęcić cudowną frazę polskiej konnicy w „Błaszonym Bębenku”.

W ten sposób ideologia splotła się z ambicjami narodowo-kulturowymi. Prawdziwy Polak poczuł się nareszcie usatysfakcjonowany.

A tradycja? Cóż, powinniśmy się już przyzwyczaić, że od trzydziestu lat traktuje się ją wybiórczo. Że przez to jest ździebko spreparowana i fałszywa?! Ale za to jaka porywająca i piękna. A najważniejsze, że SŁUSZNA! I właśnie to się liczy.

Krystyna Narwicz, dr socjologii, działaczka społeczna